



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWÓW

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## OBOWIĄZKI KOBIECY OŚWIECONEJ

WZGLĘDEM KOBIECY KLAS NIEOŚWIECONYCH.

### II

#### Pani miejska.— Szkoła sług w Warszawie.

(Dalszy ciąg).

Zapowiedzianą Szkołę sług należy uważać bezwzględnie za rzecz pożyteczną. Że nauka, oprócz wiadomości, jakie daje, formalnie kształci człowieka, że przez ruch myśli zdolności jego rozwija i czyni go wogóle pojętniejszym, do zastanawiania się, do sądu o rzeczach sposobniejszemu—intelligentniejszemu, wie to każdy, kto sam zupełnie ciemnym nie jest, i każdy też na to zgodzić się musi, że przez wpływ taki umysłowego podniesienia szkoła uczennice swoje i jako sługi podnosić i ulepszać będzie. Bezpośrednio już skutek ten wywierać musi nauka religii, która zawsze, przy każdym wykładzie katechizmu z nauką moralności się łączy: pojęcie uszlachetnionego życia dając, etyczne znaczenie obowiązku tłumacząc, sługę obok człowieka doskonale, a znajomość litery, zamilowanie książki, nietylko drogę do dalszego oświecenia umysłu otwiera. U nas sługa nie płocha, jako kobieta skromna, godności swej pilnująca, nie ma prawie możliwości znalezienia sobie środków zabawy, gdy jej niedziela i święto wolny czas potemu daje. Jeżeli — jak jest przeważnie — pochodzi z okolic dalszych i brakuje jej znajomości w kołach rodzinnych klasy, do której należy, gdzie się ma w niedzielne popołudnia zwrócić, gdzie szukać rozrywki, potrzebnej

przecież każdej istocie ludzkiej, zwłaszcza młodej, która zwykle ma w sobie większy zapas życia, wesołości, pragnienia rozmaitego, zmiany? Dawniej mnóstwo, a i teraz jeszcze bardzo wiele do kościoła na nieszpory idzie, czy przecież istocie ludzkiej, normalnie rozwiniętej, starczyć może życie pracy tylko i nabożeństwa, czy człowiek może się ostać bez jakiegokolwiek rozrywki, przyjemności — bez takiego kwiatu życia, któryby coś blasku, coś woni swojej dawał i był po surowym obowiązku wypełnianiu, wytchnieniem dla ducha? Po paru latach służby zawsze stosunków trocha się wyrobi, ale właśnie ten czas pierwszy przypadający na wiek najmłodszy, na największe niedoświadczenie, nieobeznanie się z miastem wielkiem, ma tem większą potrzebę jakiejś rozrywki niedzielnej, niedzielnego zajęcia, i książka dać to może niejednej pod postacią dwojaką. Wiemy, jak dziś lud chętnie do nauki się garnie, jak pragnienie wiedzy, oświecenia, odzywa się w nim wszędzie; powiedzieć też można, że to hasło naszego stulecia: nauka! odbiło się echem silnym w chęciach ludu. I kobieta podziela to z mężczyzną, więc książka oświecająca, nauczająca, może tu dać, jeżeli nie rozrywkę właściwą, to zawsze pożyteczne zajęcie czasu niedzielnego, wyrwanie z tej katuszy moralnej, która zowie się nudą. Nuda jest przecież niezmiernie często jedyną rzeczą, którą ucziwa sługa znajduje, gdy poza wypełnieniem obowiązku na swoje osobistą własność kilka godzin życia dostaje i prócz innych wysokich korzyści nauki i to za niemały zysk jej liczyć trzeba, gdy w bezbarwne istnienie wielu sług jakiś promień rozjaśniający rzuci. Ale wiemy wszyscy, jak kobieta klas oświeconych niezmiernie, może nadmierne, umiłowala jeden dział beletrystyki: powieść. To już na prosty dział zabawy, rozrywki zaliczonem być musi, a że człowiek w naturze swojej jest zawsze jeden i tensam, i różnice położen mogą tylko pewne powierzchowne modyfi-

kacje tu wprowadzać, przypuścić więc należy, że za rozpowszechnioną nauką czytania i niejakim podniesieniem poziomu umysłowego służących, beletrystyka tak-by im dostarczyła rozrywki i zabawy już właściwej.—jak jej dostarcza tysiącom kobiet innych warstw społecznych.

Ze jest to rzeczą, niemałą w zakresie moralności i dobrobytu społeczeństwa, jak się w niem ludzie bawią, rozrywka, zabawa kobiet służących zajmuje też myślicieli moralistów wszelkich krajów cywilizowanych. Gdy gdzieindziej (w Anglii) znajduje się w tym celu zawiązane towarzystwo, które krzewi między służącymi zamilowanie muzyki i wykształcenie muzyczne; towarzystwo hodowania w pomieszkaniu kwiatów — możemy bez wpadania w drobiazgowość doliczyć to do korzyści szkolnej nauki służących, że przyłoży się ona do wytworzenia obfitego źródła szlachetnej i przystępniejszej niż inne zabawy, podając im w rękę książkę.

Gdy Kraszewski po objęciu redakcyi „Gazety Polskiej“ w podróż po Europie wyjechał i zobaczył, jak tam troskliwie na ten przedmiot się zapatrują, jak tkliwie, miłosiernie pojmują położenie robotnicy, najciężej może przez obowiązki swe obciążonej, — wrócił z myślą założenia w Warszawie resursy sług, z teatrem ludowym i czytelnią, która miała w dnie świąteczne zajmujących książek na miejscu członkom swym dostarczać, lub je do domu wypożyczać. Głównie z myślą przeprowadzenia tego planu został członkiem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, i już sobie do współpracy znajomą kobietę przyzwał, a tak nawet tem się zajął, że przywiózł ze sobą jako wzór dramata ludowe francuzkie. Jeden z nich: „Taczki ojca Marcina“, już tłumaczyć zaczęto, gdy zajęcia innego rodzaju stanęły dobrej tej rzeczy na przeszkodzie.

Ale chcąc wykazać wszystkie celne i poboczne korzyści, które z wykształcenia umysłowego na sługę spłyną, możnaby tomy całe zapisać; że prze-



cięż każda rzecz dobra może być jednak dobrą więcej lub mniej, trzeba nam rozpatrzeć warunki, wedle których zapowiedziana szkoła działać będzie. Już głos takiej potrzebnej krytyki odezwał się w *Wiek* i zapewne odezwie się z kolei i w pismach innych, bo kwestya jest w zakresie swoim żywotną. Głos *Wiek* jest pesymistyczny; potrzebie szkoły sług, umysłowo je kształcającej, nie przecząc w zasadzie, sądzi jednak, że dla sług, obecnie obowiązki te sprawujących, a „prawie z gruntu już zepsutych“, będzie ona bezużyteczną i radzi, aby się zajęto raczej przyszłością i z ochronek brane dzieci, na dobre i sumienne sługi w szkole kształcono. Ale zajęcie się przyszłością, niewątpliwie chwalebne i pozytywne, nie usuwa, nie wyłącza bynajmniej działania dla teraźniejszości; że zaś bardzo znaczną część stanowią dziewczęta młode, więc nie wiem czy szkoła jużby ich podnieść i uszlachetnić nie mogła? Przytem *Wiek* napisał w tych uwagach swoich jeden wyraz ważny „prawie“, co znaczy, że jednak nie wszystkie sługi sądem tym obejmuje i nie w jednym stopniu je potępia, a obok tego kontyngens sług warszawskich z roku na rok się odświeża i dopełnia dziewczętami, które, przeważnie z dalszych stron kraju przybywając, wchodzą w kadry wytwarzane przez dzisiejsze sługi.

Redakcyja nasza odebrała trzy listy również z krytycznymi uwagami nad szkołą. Wszystkie pisane przez kobiety, przez gospodynie, mniej więcej jednakowo to podnoszą, że programat jest niepełnym, połowicznym, że dając słudze wykształcenie umysłowe, niewątpliwie jej potrzebne, nie uzdalnia jej jednak do pracy zawodowej, co byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla naszego gospodarstwa domowego, wielką ulgą dla gospodyni, a nawet rzeczą ważną w ekonomii rodzin. Ja-bym dodała do tego więcej jeszcze: wpływałoby to niezmiernie na podniesienie się moralne poziomu sługi, która stawałaby się wtedy, nietylko użyteczniejszą, jako robotnica, ale lepszą i szczęśliwszą, jako człowiek. Niemniej nie można z tego robić zarzutu szkole, powstać mającej. Nie daje ona wszystkiego, ale daje coś—daje rzeczy połowę. Połowa ta jest bardzo ważna, wzięta sama w sobie, ale kto wie, czy to, co pozostaje niepodjętem, co jest zostawione odłogiem, nie będzie w praktyce życia podkopywało skutku szlachejnych usiłowań, poczciwych, obywatelskich chęci, z których istnienie szkoły początek swój czerpie. Sługa nieuzdolniona do obowiązku, który na siebie bierze, już tamsamem popełnia rzecz niemoralną. Ale ona potrzebuje pracować, aby żyć, gdy jednak nieumiejętna, niedoświadczona do tej pracy swej przystępuje, budzi niezadowolenie, budzi gniew pracodawców swoich i życie jej utrudnia się, unieszczęśliwia. Nieboga wini o to służbę, złe uczucia występują z głębi biednego serca, wyradza się niechęć, czasem nienawiść, obie strony: sługa i gospodyni domu, rozdrażniają się wzajemnie, obie strony, pragnąc sobie uciążliwe to położenie poprawić, rozchodzą się ze sobą i zaczyna się dla sługi wędrówka z domu do domu i droga do „zepsucia się z gruntu“ otwarta.

Szkoła służących zawodowa, która byłaby niezależnie od kształcenia umysłowego i moralnego, a raczej w połączeniu z niem, szkołą kucharek, pokojówek, służących do wszystkiego, mogłaby jedynie zaradzić złemu, dając nam dobre sługi i dobre panie, bo i te mimo wyższości umysłowego wykształcenia i wyrobienia moralnego, i te psują się teraz z konieczności. Przez nieustanne tarcie w maszynie swego domowego gospodarstwa rozdrażniają się, uczą być ostremi, podejrzliwymi względem sług swoich, które uważają za istoty niższego od siebie gatunku i w smutnym tym stosunku zapominają nakręcać jednej ważnej sprężyny swego serca: „zapominają być dobrymi“.

Szkoła sług zawodowa jest przecież niełatwą do wzniesienia. Ponieważ tu nauka opiera się przeważnie na praktyce, przedstawia to trudności bardzo wielkie, jeżeli nakład nie ma być znaczny, gdy z drugiej strony opłata, pobierana od uczennicy, z natury rzeczynizką być musi. W Niemczech, a to w Berlinie, w Lipsku, we Frankfurcie, szkoła kucharek jest zawsze połączona z restauracją dla kobiet. U nas podobnie urządzona

szkoła, założoną została przez p. Łojkę, ale przedsięwzięcie nie udało się, na co przecież złożyło się wiele rozmaitych okoliczności. Czy jednak przy innych warunkach: przy umieszczeniu w środku miasta, restauracya taka, szczególnie urządzona na wzór Frankfurckiej, to jest z droższymi i o tyle tańszymi obiadami, że je prawie nazwać można: „Tanią kuchnią“, nie mogła-by istnieć? Gdy się pomyśli o mnóstwie kobiet pracujących, z których znaczna bardzo część nie ma rodzin własnych: o szwaczkach, magazynierkach, kwiaciarkach, i posuwając się coraz w hierarchii pracy: o nauczycielkach lekcye dających, sądzić trzeba, że restauracya na wzór frankfurckiej, racya byłaby u nas ma, a nawet byłaby wielkiem dobrodziejstwem dla bardzo wielu samotnych kobiet. Ale dodać tu trzeba, że poczynając od Berlina, wszystkie te restauracye kobiece i związane z nimi szkoły kucharek należą do tych stowarzyszeń kobiecych, których w Niemczech jest tak wiele i wybornie urządzonych.

W Berlinie istnieje jeszcze innego rodzaju zawodowa szkoła służących. Tamtejsze „Stowarzyszenie gospodyń niemieckich“ obejmujące przeszło sześć tysięcy osób, a więc tyleż ognisk domowych, postanowiło mieć własny kantor służących i własną ich szkołę, którą urządziło w sposób nieco podobny, jak *Wiek* żąda: to jest kształcać praktycznie do zawodu kucharek i pokojówek dziewczęta młode, przez towarzystwo dobrane. Że w Niemczech istnieje nauka ludu przymusowa, zatem wszystkie te dziewczęta, przeważnie ze wsi lub małych miasteczek przez towarzystwo wprowadzone, posiadają wykształcenie elementarne i towarzystwo oddaje je na naukę do domów prywatnych, choćby nie stowarzyszonych, byle uczciwych i dobrych gospodyń, gdzie albo nauka jest płatną, albo dawana za odsługę: to jest dziewczyna wchodzi od razu jakgdyby w służbę, której jednak nie może porzucić, aż po czasie pewnym oznaczonym przez kontrakt, który w imieniu, lecz za zgodą dziewczyny lub jej krewnych, towarzystwo zawiera, pilnując interesów swojej wychowanki i dostarczając jej pomocy, w razie, gdyby pani nadużywała praw swoich, lub nieuwzględniła praw służącej uczennicy, którą od czasu do czasu odwiedza delegowana towarzystwa. Obowiązkiem takiej delegowanej, która stale już zajmuje się jedną wychowanką, jest dowiadywać się o jej obyczaje i dbać, aby wypełniała obowiązujące ją wedle jej wyznania przepisy religijne. Trzeba tu dodać na pochwałę towarzystwa, że choć złożone przeważnie z protestantek, przeciw uczciwa tolerancya i rozumne pojęcie tego, czem zasada religijności jest w wychowaniu, skłania je do równie troskliwego baczenia na tę stronę moralnego stanu u dziewcząt katoliczek, które przybywają z Niemiec Południowych.

Tym sposobem „Towarzystwo Gospodyń Niemieckich“ przysposabia sobie siły młode—wychowuje nowe pokolenie sług; że przecież tam niemal wszystkie dziewczęta posiadają już wykształcenie elementarne, rzecz znajduje się przez jedną ważną stronę swoją już załatwioną. U nas mogłaby się również taka zawodowa szkoła sług szczęśliwie powieść, łącząc się ze szkołą, jaka ma powstać—ze szkołą dającą wychowance odpowiednie oświecenie umysłu a gdy jedna dopełniałaby drugą, razem odpowiedziałyby zadaniu w zupełności. Gdy przed kilku laty pismo nasze podało w *Kronice działalności kobiecej* wiadomość o szkole berlińskiej, namawiając do naśladowania, zgłosiło się do redakcyi kilka pań, chcących się podjąć takiego praktycznego kształcenia dziewcząt. Była w tej liczbie jedna pani ze wsi.

Zawodowa szkoła służących, w ten sposób urządzona, wytworzyłaby zarazem dla dobrych gospodyń nową gałąź pracy zarobkowej. Jedna gospodyni mogłaby przyjmować na naukę za opłatą po kilka dziewcząt, czyniąc sobie z tego taką specjalność, jak jest specjalnością nauczanie szycia, krawieczyny, kwiaciarstwa, a taka nauka domowa miałaby ze względu na przyszłe powołanie uczennicy tę wyższość wielką, że nie byłaby samem tylko nabywaniem wiadomości potrzebnych, lecz stanowiłaby pewien rodzaj terminowania w rzemiośle służby domowej. Kiedy dziewczyna wychowana w domu rodziców ubogich, lub pro-

stych, gdzieś na wsi, gdzieś w małym miasteczku, przybędzie do Warszawy i zgodzi się do służby w domu zamożniejszym i wytworniejszymi nawykami. — wszystko, aż do obejścia się z ludźmi, jest dla niej nowością i trudnością razem. Ile jest rysów rozmaitych w charakterze ludzkim, tak ze strony sługi, jak pani, tyle odcieni uczuć gra tu rolę swoją — częściej dla biednego dziewczęcia smutną, niż wesołą.

Przecież stan taki istniał od lat — od lat obejmujących życie niejednego pokolenia, daczego jednak wzmaga się coraz skargi na złe sługi, daczego stało się to ogólnem, utartem mniemaniem, że dawniejsze były lepsze: wierniejsze, pracowitsze? Może być, że obecnie klasy ludowe mniej cierpliwie znoszą pewne położenia podległe, ale zdaniem mojem, nie jest to źródłowa przyczyna tej zmiany na gorsze. Aż do bieżącej chwili jedyną u nas szkołą służących jest służba sama, czyż zatem edukacya ztamtąd wynoszona, nie obniżyła się w dodatnich wpływach swoich, czy nie jest gorszą, niżeli była niegdyś? Może słudze zabrakło w szkole owej, prowadzonej przez jej pracodawczynię, tej nauki dobrej pracy i obowiązkowości, którą dawniej otrzymywała od gospodyni — naczelniczki domu u ogniska rodzinnej stojącej?

Maryja Ilnicka.

## POGA WĘDKA.

Trzeba przyznać bez ubliżenia któremukolwiek z naszych prelegentów tegorocznych, że najwięcej interesu wzbudziły cztery odczyty prof. Wł. Spasowicza „O Byronie“, wygłoszone dzień po dniu na korzyść Towarzystwa Dobroczynności, w zapelnionej dołem i górz Sali Ratuszowej.

Pan Spasowicz, przebywający stale w Petersburgu, dawno już nie stawał na katedrze prelegentkiej w Warszawie i jakby dla wynagrodzenia tego swoim wielbicielom, po dłuższej przerwie przywiózł nam gościniec literacki, większej niż poprzednie wartości, znaczniejszych rozmiarów i na szerszy plan krytycznego studjum zakrojony.

Można było się spodziewać, że usłyszymy rzecz zajmującą, gruntowną, poważną, opartą na źródłach i badaniach samodzielnych, oryginalną i śmiałą w poglądach, choćby nie zewszystkiem przekonywających, ale konsekwentnych w założeniu z ideą, której znany krytyk jest rzecznikiem i pionierem. Wybrany tymrazem temat, budził też większe, niż jakikolwiek inny, zajęcie, a budził nietylko ze względu na materiał, jaki ogarnął, ale ze względu właśnie na osobistość prelegenta, którego o wszystko, byle nie o sympatyje i wyrozumiałość dla romantyzmu i w poezyi i w życiu posądzać było można.

Co i jak mówić będzie Spasowicz o Byronie i jego naśladowcach? Pytanie to zaostrzało ciekawość i sprawdziło tłumy inteligentnej publiczności do Sali Ratuszowej.

Rzecz sama najwięcej interessowała, bo o prelegencie wiedziano dobrze, iż nie należy do najlepszych mówców *ex cathedra* i swoją twardą, zająkliwą dykcją raczej zmęczyć, aniżeli ująć potrafi słuchacza, a mimoto słuchano ze skupioną uwagą, żalowano każdego słowa, które przepadało niekiedy w niezrozumiałej wikłaninie ostrych dźwięków.

Nie mówca, nie deklamator, nie ułożona fizjognomia prelegenta i kunsztowna forma frazesu zaciekawiały w tych odczytach, które same za siebie przemawiały, ale istota ich wewnętrzna, duch krytycyzmu, jaki wiał z każdego ustępu.

Prof. Spasowicz sięgnął do właściwego źródła tej nowej poezyi, która u przelomu dwóch wieków nastroiła się na nowy ton; wszystkich poprzedników Byrona wziął na ściśłą spowiedź i zaprzeczywszy wręcz autorowi „Renée'go“, Chateaubriandowi, prawa do duchowego ojcostwa byronizmu, w Rousseau'ie szukał głównego ogniska



prądu, który popchnął poezją romantyczną XIX-go wieku w zupełnie odmiennym kierunku.

Charakterystyka ducha, talentu i utworów genewskiego filozofa, ostra lecz sprawiedliwa i wybornie zestylizowana, była wstępem do właściwego studium o Byronie—charakterystyka nieprzychylna i bezwzględna, motywowana z adwokacką ścisłością a logiką krytyka, świdrującego na wskrós swoim skalpelem umysł i ducha autora „Nowej Heloizy”. Niemniej dotkliwe cięgi dostały się Chateaubriandowi, któremu się zarozumiale wydawało, że „luczywo na jego galskiej łodzi, wskazało drogę albiońskiemu okrętowi na morzach dotąd niezbadanych”, i który nie mógł wybaczyć Byronowi, że czytając i cytując wszystkich niemal współczesnych poetów francuzkich, jego poważał się pomijać upartem milczeniem, jakby dlatego jedynie, iż otwarcie wielił tych tylko pisarzy, z którymi na zestawieniu nie tracił.

Prof. Spasowicz dopiero w trzecim odczycie swoim na prawdę zbliżył się do Byrona, a wychodząc z zasady, iż o tak nawskrós indywidualnym poecie można nabrać właściwego wyobrażenia, poznawszy w pierw jaknajdokładniej jego życie, na podstawie wyczerpujących studyów w tym przedmiocie Elsego i Jeaffersona, zabrał się do skreślenia zbyt, jak na katedrze, szczegółowej biografii twórcy „Manfreda” i „Don Juana”.

Stało się skutkiem tego przeładowania odczytu materiałem biograficznym, że na krytykę i rozbiór utworów Byrona, miejsca już i czasu nie starczyło, że słuchacze więcej skorzystali na charakterystyce Rousseau’a i Chateaubrianda, aniżeli na ogólnikowych, choć śmiałych i trafnych rysach duchowej fiziognomii poety, który miał być głównym celem rozbioru i krytyki prelegenta.

Trzeba było nawet pominąć zupełnie, określony jednym wyrazem: arcydzieło, najznakomitszy utwór i streszczający w sobie może najlepiej geniusz tego „kulawego anioła” poezji, „Don Juan’a”.

Nie usłyszeliśmy też nic o ważniejszym od genezy duchowej Byrona—wpływie jego na potomność i dziedzictwo epigonów poety, zwłaszcza u nas, a zdawało się nam w początkach, że na to głównie zanosilo się w studium p. Spasowicza. Prelegent zrobił słuchaczom nadzieję, iż w przyszłości uzupełni te braki i uwieńczy swą pracę charakterystyką całej epoki romantycznej, która pod potężnym wpływem Byrona się rozwijała.

Człowieka postawił nam krytyk prawie plastycznie przed oczy; poeta, myśliciel, artysta, geniusz twórczy zarysował się w szkicowych, nie dosyć wycieniowanych konturach.

Trudno nam bez oryginału pracy p. Spasowicza wchodzić w bliższą jej ocenę, niepodobna przecie streszczać dokładnie i skrytykować jego poglądów; gdyby zaś chodziło o rozwinięcie, czy odparcie pewnych zdań, wygłoszonych przez prelegenta, bądź-to o naturze i zadaniu poezji, bądź też o jej traktowaniu ze stanowiska współczesnych pojęć filozoficzno-społecznych, musielibyśmy dziesięćkroć chyba przedłużyć Pogawędkę, w której z tak poważną osobistością myśliciela i krytyka pobeżnie rozprawiać się nie godzi.

Rozprawę „O Byronie” zamieszczą najbliższe zeszyty *Ateneum*: do nich przeto odsyłamy i tych, którzy nie mieli sposobności zapoznać się z nią w żywym słowie z katedry, jak i tych, co raz jeszcze zamierzaliby uważniej przebyć z autorem drogą krytycznej wędrówki po obszarach ludzkiego geniuszu.

Nie łatwa była rzecz dla następców prof. Spasowicza pozyskać sobie w przybliżonej choćby mierze interes słuchaczy; sala ratuszowa na następnych prelekcjach świeciła, niestety, pustkami, chociaż afisze zapowiedziały nowy i prawie publicznie nieporuszany u nas temat z fiziologii: „O wrażeniach zmysłowych”. Młody lekarz, a jeden z najzdolniejszych pracowników w swoim zawodzie, dr. Nussbaum, stanął poraz pierwszy w roli popularyzatora tych mało dostępnych nabytków poważnej i żmudnej nauki, która sobie ciało człowieka wzięła za cel swoich badań i obserwacji.

W sposób jasny, przystępny, zrozumiały obja-

śniał prelegent własności i urządzenia tych wszystkich organów, zapomocą których przychodzimy do świadomości świata zewnętrznego i zawiadomił słuchaczy, że ściślejsze badania fiziologów oprócz pięciu znanych zmysłów w człowieku, odkryły i rozróżniły jeszcze trzy inne, nazwane zmysłem mięśniowym, ciepłikowym i wewnętrznym, czyli zmysłem głodu i pragnienia.

Jaakkolwiek nie mamy prawa zabierania głosu w tym przedmiocie, ośmielamy się jednak zauważyć, że ta ostatnia klasyfikacja wydaje się nam jedynie wyspecjalizowaniem tylko piątego zmysłu czucia, do którego ostatecznie sprowadzić-by się dały wszystkie trzy zmysły, służące nam do ocenienia pewnych własności ciał, przestrzeni, temperatury, lub pewnych naturalnych, fiziologicznych objawów. W zakończeniu obu nader zajmujących wykładów dr. Nussbaum zauważył bardzo słusznie, że poza summa wrażeń zmysłowych jest jeszcze ogromna nieograniczona sfera wrażeń wyższych i rozkoszniejszych moralnej natury, która właściwie uszlachetnia nam życie i podnosi ducha, a o którą przecież więcej dbać nam należy, jako istotom dążącym do poznania i zbliżenia ideałów dobra, piękna i prawdy.

Były sędzia, a obecnie adwokat przysięgły, p. W. Małkowski mówił z kolei o „pauperyzmie”. Prelegent tak obszernego przedmiotu, nie mógł dobrze nawet wcisnąć w ramy jednogodzinnego wykładu, zwłaszcza zachowując mu formę przystępniej, lekkiej pogadanki, pozbawionej prawie naukowego balastu. Samo scharakteryzowanie przyczyn ekonomicznych i moralnych pauperyzmu wymagałoby było dłuższej znacznie rozprawy i obszerniejszych wywodów; cóż dopiero rozbiór i ocena środków zmniejszenia nędzy, która po wszystkie czasy trapiła i trapić będzie społeczeństwa, nawet najlepiej urządzone i zagospodarowane!

Oświata, wzrost dobrobytu i moralności są niezawodnie najskuteczniejszymi czynnikami przeciw szerzeniu się pauperyzmu, ale bezpośrednią jego opiekunką, pozostanie chyba zawsze filantropia, hojną ręką obdzielająca biednych w imię miłosierdzia i miłości bliźniego. U nas więcej, niż gdziekolwiek, dobroczynność publiczna musi wyręczać pracę organizacyjną społeczno-państwową, która ma jeszcze mnóstwo luk do zapalenia, mnóstwo gwałtownych nawet i naglących potrzeb do zaspokojenia.

Prelegent nie oszczędził naszemu Towarzystwu Dobroczynności kilku uwag, które tem większe powinnyby zrobić wrażenie, że powiedziane były publicznie z katedry, i to w odczycie na korzyść tegoż Towarzystwa wygłoszonym; radził on pozbyć się zbytecznej biurokracji z całą pretenzyonalną tytułomanią prezesów, wice-prezesów, opiekunów i t. d., a odżywić swe siły młodym, energicznym zastępem, któryby bardziej postępowo poprowadził filantropijną działalność tej zasłużonej i od lat siedmudziesięciu istniejącej u nas instytucji.

\* \* \*

Z dwóch ubiegłych tygodni nie wiele uzbierało się ważniejszego materiału do Pogawędki, oprócz pogody, wyborów do Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, pożyczki kanalizacyjnej, pojawienia się nowego tenora p. Myszugi na warszawskiej scenie—i chyba na tem koniec.

Pogoda, zdaje się—zacznie być raz już wiosenną i z nieba zachmurzonego dotąd, nie zniknie tak rychło. Wybory do Towarzystwa rozpogodzą również fiziognomią jego zarządu nowym obywatelskim nabytkiem, a pożyczka na kanalizację całym złotem słońcem zajaśniała, bo dziesięćkroć przeniosła oznaczoną summe.

Co do p. Myszugi, o tym powiedzieć można, iż się przy jego śpiewie rozjaśniło na scenie naszej Opery, i życzyć-by wypadało, abyśmy znowu nie musieli popadać w dawne cienie; zatem jak na pierwsze dni Maja—wszędzie pogoda.

Żeby tylko w duszach jej nie zabrakło!

## KTÓS

### POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dal-zy ciąg).

Przestraszone dziewczę, choć było uprzedzone przez Harasyma, że jej tu będzie dobrze, jak w niebie, poczynoło popłakiwać, zasłaniało sobie oczka—gdy pieszczotliwy głos Tatiany—uspakał ją i tulił.

Sierotka była piękną. Opalona twarzyczka tryskała zdrowiem. Rysy przypominały Horpynę może, taką, jaką była w młodości. Twarz, ślicznych linii, nie miała jeszcze wyrazu, który daje dopiero życie samo; lecz dzieciństwo spędzone w pracy, często do myślenia o sobie zmuszone, napiętnowało ją już pewną energią.

Czarne włosy bujne, w warkoczach wstążkami pozaplatanych, zwijały się jej około główki. Przyodzievek był ubogi. Praca w polu, słońce i wiatr, ściemniły pleć—lecz Tatiana sobie ją wybieliła obcięwała.

Gdy na ziemię ją, chwiejącą się inieśmiałą, postawiła Tatiana przed Horpyną—stara wlepiła w nią oczy chciwe, ciekawe—i, przypomniawszy sobie może młodość własną—rozplakała się naprzód.

Dziecko, słysząc szlochanie, wtórowało mu. Trwało to jednak krótko. Tatiana opanowała zdobycz—i naprzód spytała o imię.

Harasym czy przypadkiem, czy umyślnie dobrał—drugą Horpynę...

Co było robić? Tatiana się to nie podobało, ale imienia patronki zmieniać się nie godzi.

Posadzono sierotkę nad misą mleka, oczekując, ażby Harasym, konia postawiwszy, przyszedł zdać sprawę z podróży. Stawił się on wprędce, widocznie dumny z tego, że mu się wyprawa powiodła.

Zdaniem jego, Pynia (tak ją spieścił), miała wyrosnąć na taką krasawicę, jakiej świat nie widział, a co do rotropności jej, zręczności, ochoty do pracy, o tych się mógł w czasie podróży przekonać. Zaręczał, że już teraz mogła się przydać w gospodarstwie, a w dodatku piosnek siła umiała.

Sierotą była po rodzicach i miała tylko dziadka po ojcu, który oślepy chodził za jałmużną. Usługiwała po krewnych, od których z niemałym trudem potrafił ją odebrać Harasym. Chwalił się, opowiadając, jakich musiał używać środków, jakiej przekonywującej wymowy, aby ten skarb dostać.

Miał kilka na widoku, ale żadna tej nie dorównywała.

Dano mu się wygadać dosyta, napojono go wódką i odprawiono, zajmując się natychmiast dziewczęciem, które nadzwyczaj prędko przystało do Horpyny, obył się z domem—odgadło jakoś swe obowiązki.

Stara na krok jej nie odstępowała. Wistocie ustały narzekania, lamenty, zawodzenia, bo się trzeba było zająć sierotką, a Tatiana i sama pani na wypródkę troskały się około dziecka.

Nie przywiozła ona z sobą nic, oprócz pary koszulek i spódnicek w węzełku. Siermięzkę na podróż kupił dla niej Harasym i proste czarne buciki; krzyżyk mosiężny na szyi stał za korale, za paciorki, których ani jednego sznurka nie miała.

Natychmiast więc potrzeba się było zająć ustrojeniem jej, bo Horpyna chciała, aby wyglądała pięknie, aby chodziła, jak ona. Obie z Tatianą nazajutrz zaraz zajęły się wyborem strojów do przerobienia przeznaczonych. Horpyna sama



uczesła jej i zaplotła włosy, zawiesiła sznur koralu na szyi — i przez cały dzień nie puściła jej od siebie.

Dziewczę było z początku nieco przestraszone, nieśmiałe, opowiadając jej o wsi, o sobie, o podróżach. To szczebiotanie, dawno niesłyszane, jak powiew wiosenny działało na starą Horpynę: musiała dla małej tej zapomnieć o sobie. Twarz się jej wypogodziła.

Następnych dni obie kobiety zajmowały się więcej Pynią, niż gospodarstwem. Obaj parobcy również tym przybyszem byli rozradowani i przypatrywali się dziewczęciu z rozrzewnieniem — potrząsając głowami: przyniosła im z sobą wspomnienie Ukrainy, głos ich domowy. Dogadzano i służono Pyni, zamiast ją do posług używać, aż sama się musiała do roboty narzucić, aby pokazać, że się na coś przydała. Dopieroż uniesienie było niezmiernie, gdy, zręczna i silna, zaczęła biegać, nosić, zwijać się i wśród śmiechu gospodarzyć.

W tej pustyni, otoczeni obcymi wszyscy mieszkańcy Rusinowego Dworu odżyli z łaski kropli młodości, która na nich spadła, jak z nieba; najwidoczniejszą jednak była zmiana w starej Horpynie, która daleko weselszą była, a gdy podawemu zasiadała nucić, zawodzić i płakać — dosyć było, aby dziewczę przybiegło: natychmiast łzy osychały i zaczynało się wesołe szczebiotanie.

Pynia z początku tęskniła za swoją wioską, w której była biedną i często głodną sierotą, a pracować musiała od świtu do nocy; ale powoli przywykała do nowego bytu, oswoiła się z nim — i dziecinna wesołość wróciła. Stroje, wygody, pieścizoty, słodkie słowa — nie dawały myśleć o przeszłości.

Zwolna ona tu niemal panować i rozkazywać zaczynała — wszystko jej prawie wolno było.

Horpyna przypatrywała się jej pilno, chcąc ją mieć i piękną — i rozumną i dobrą. Zapowiedziała Tatianie, namyśliwszy się — aby, gdy Sylwan przyjedzie, nie wyrwało się jej z ust to, że Pynię przywieziono z myślą, aby kiedyś jemu była przeznaczoną. Czuła stara matka, że narzucone nigdy nie jest pożądanem; chciała, aby on sam się później rozmiłował w niej — i zapragnął. Zdawało się jej to możliwem, koniecznem. Tymczasem ciekawą była, jakie wrażenie dziewczeczka uczyni na Sylwanie.

Ładna była, roztropna, żywa, i ten rodzaj instynktowej zalotności niewieściej, która się budzi często bardzo zawczasu w dziewczętach, już jej nie był obcy. Ustrojona, przegłądała się w lusterku lub wiadrze wody, przypinała sobie jesienne kwiatki... a gdy ją starzy parobcy chwalili z urody — śmiała się szczęśliwa.

Głosik miała ptaszęcy, którym tęskne dumki nuciła — tak słicznie, że jej wszyscy chętnie długo w milczeniu się przysłuchiwali.

Pynia była już od kilku tygodni na Rusinowym Dworze i zupełnie się z życiem tutejszem oswoiła — gdy Sylwan po długiej niebytności nadjechał.

Dziewczę wiedziało, że się go spodziewano, było ciekawe. Tatiana nauczyła ją, że powinna była w rękę go pocałować, gdy przybędzie, i pięknie mu służyć. Horpyna też szeptała wychowawce, iż pana tego musiała kochać, bo on być miał jej opiekunem. Częste wspomnienia o Sylwanie podrażniły dziecięcą ciekawość: oczekiwała go niecierpliwie. Wyobrażała sobie poważnym i niemłodym — obawiała się trochę.

Gdy Sylwan wjechał w podwórze i wprost do swej izby wbiegł, aby się przebrać, Horpynki nie było na dziedzińcu. Zobaczyła go dopiero, gdy przebrany w prostą odzież przyszedł do matki.

Pynia stała drżąca we drzwiach alkierza, ładna jak obrazek z życia ukraińskiego.

Matka rozplakała się, ściskając syna — jak zawsze, trzymała go w objęciach długo — a gdy Sylwan podniósłszy głowę, zobaczył to niebywale zjawisko — zdumiał się bardzo.

Matka mu nigdy ani wspomniła o tem, aby swą służbę powiększyć chciała. Nie domyślał się, że dziewczynina była Ukrainką, sądził, że ją

tylko tak ustrojono, wzięwszy gdzieś w okolicy. Uśmiechnął się, wskazując matce na Pynię.

— Jakże to dobrze, matusiu — odezwał się — żeście sobie służankę znaleźli — i jeszcze ją tak pokukrańsku słicznie ustroili! Dawno wam tego było potrzeba... Szczebiotanie młode nieraz wam smutne myśli rozpędzi.

Ale zkadże się ona tu wzięła?

Pynia zarumieniła się, fartuszek do ust podniosła, główkę spuściła trochę, a spod oka spoglądała na przybysza.

— Harasym ją przywiózł z pod Humania, tę biedną sierotkę — odezwała się matka.

— Jakże rozumnie zrobił! — zawołał Sylwan. Oddawna było potrzeba się postarać o taką wychowankę dla ciebie, matko; przynajmniej nie zawsze samą będziesz.

Stara się ożywiła, nie chciała jednak, mówiąc o Pyni i chwając ją, aby dziewczę to słyszało.

— Idź do Tatiany — szepnęła, zwracając się do niej.

Pynia pierzchnęła natychmiast z żywością dziecka, ale oglądając się zalotnie poza siebie.

— Nieprawdaż — mówiła dalej matka — że ona wyrośnie na słiczne dziewczę? A nie uwierzysz: na takie dziecko — co to za rozum, pamięć, spryt i do wszystkiego zdolność!

Sylwan słuchał z zajęciem.

— Doskonałą, pocziwą miał myśl Harasym, za którą mu podziękować muszę — odezwał się, całując rękę matki. — Wychowajcie ją — postaramy się o to, aby na świecie później źle jej nie było.

Syn znalazł matkę wpływem tego dziewczęcia, jak mu się zdawało, bardzo szczęśliwie zmienioną, spokojniejszą, zajętą niem — weselszą.

Był Pyni za to wdzięczny i zaraz pierwszego wieczora, aby ją ośmielić, — kilka słów przemówił do niej. Zdziwiła go śmiałością odpowiedzi, i dzikim trochę wdziękiem swej oryginalnej piękności, — którą już pewna zalotność podnosiła.

Gdy raz te pierwsze lody zostały złamane, dziewczę szczebiotało ciągle, kręciło się, narzucało i dowiodło Sylwanowi, że się już tu zupełnie przyzwyczaiło.

Nazajutrz Tatiana spotkała w podwórze Sylwana.

— No, a co wy mówicie na nowy nasz przychówek? — zaśmiała się. Nie będziecie zazdrośni, żeby ją matka nadto nie pokochała?

— A! moja Tatiano — odparł Sylwan — byle jej z tem na świecie trochę lepiej, lżej było — byłbym prawdziwie szczęśliwym!

— Widzicie, zdaje mi się — dodała stara — że Horpyna mniej oczy wyplakuje teraz... Ona, jak dziecko: potrzeba jej było jakiejś zabawki.

— Szkoda, żeśmy o tem dawniej nie pomyśleli.

Potrząsnęła głową Tatiana.

— Dawniej — by to się nie zdało na nic — teraz przyszło w samą porę... byle tylko dziecka nie popsuka, bo już je pieścić zaczęła.

Stara się uśmiechnęła chytrze, i spoglądając na Sylwana, wtrąciła:

— Nie prawdaż, panoczku?... jak wyrośnie, będzie z niej krasawica — za którą ludzie szalęć mogą. Byłam kilka razy tu po miasteczkach i po wsiach, widziałam dużo ludu — ale nie ma tu dziewcząt jak u nas, zbudowanych jak łanie, pięknych jak nasze i silnych. Tu ludek przymarniały, jak ta ziemia uboga, na której siedzi. — Gdzie im do naszych!

Pynia wyrośnie chłopcom na zagubę. Ja się na tem znam — okrutnie będzie piękną. Sierota w nędzy możeby była zmarniała; ale tu, na zdrowym chlebie, — jak to rozkwitnie!

Starej się oczy świeciły; Sylwan słuchał, uśmiechając się i nic nie mówiąc.

Na myśl mu nawet przyjść nie mogło, że ten kwiatek nierozpeknięty jeszcze dla niego matka przeznaczona. Ona się też strzegła czemkolwiek mu to dać poznać.

Wprędce bardzo spoufalona ze starą, z Tatiana,

— Pynia i z Sylwanem, była już, jakdyby go od wieków znała. Patrzyła mu w oczy śmiało, a gdy Horpyna spytała jej raz: jak się jej pan podobał — pokręciwszy główką, po krótkim namyśle — zamruczała:

— Piękny pan! Jam myślała, że on stary, a wydaje się młody jeszcze i taki dobry... ale czegoś smutny.

— Co za dziw! — zawołała Horpyna — na naszej ziemi piołunu rosło dużo i długo... w naszej krwi niedola wieków płynie goryczą. — Co za dziw!

I jej łzy z oczów pociekły, gdy to mówiła.

— Staraj się, aby on ciebie lubił — szepnęła matka, schylając się ku niej i głaszcząc. — Jak mnie nie stanie, jego jednego mieć będziesz na świecie.

Patrzyła Pynia wielkimi zdziwionymi oczyma; nie zdawała się tego rozumieć dobrze.

Pobyt na Rusinowym Dworze tej późnej jesieni dla Sylwana był przyjemniejszym nie zwykle. Nieznacząca ta istota — nadawała pewne życie, przynosiła wesele, dwóm babom nie dawała stękać i zalić się. Często, gdy Sylwan przychodził do matki, wypadała za nim Pynia, stawała w kątku i nie dopuszczała starej płakać a narzekać. Wtrącała się po swojemu do rozmów, wywoływała śmiech Sylwana, a nawet starej Horpynie swą naiwnością chmury z czoła spędzała.

Gdy Horpyna chciała się uzalić i zboleć, precz wysyłała dziewczę, które uparcie co najprędzej powracało.

Kilka tygodni upłynęło bardzo szybko. Zima się zbliżała, którą Horpiński zwykł był spędzać w Warszawie. Matka tym razem ani mówiła o wyjeździe, ani mu go przypominała; on zaś — wśród tej samotności i ciszy, mając w lesie czasem polowanie, przejażdżki po polach swobodne — wieczorami matkę i to dziecko — jak je nazywał — niebardzo za miastem tęsknił.

Zapomniał zupełnie o Paczuskim — o jego głupim przesładowaniu i o potrzebie ukrywania się z sobą.

W ukraińskim swem ubraniu prostem błędził z psami popolach i lasku w jakimś błogiem odętwieniu.

Widok tego świata większego, do którego napół należał, obudzał w nim te żądze chorobliwe zemsty, zazdrości, niechęci, — które zatruwają duszę; tu przynajmniej był od nich wolnym.

Oprócz wieśniaków i drobnej szlachty z okolicy, która już się była z Rusinami oswoiła — nie spotkał nikogo i nie troszczył się o sąsiedztwo, którego nie znał.

Wątpliwem jest bardzo, czy o pobycie w blizkich Brzózkach pani Bończyny wiedział nawet; nie miał bowiem zwyczaju dopytywać o to sąsiedztwo, z którym żadnych nie chciał zawiązywać stosunków.

Naówczas gdy piękna wdówka go raz na polu spotkała i zdawało się jej, że go poznała — Horpiński, zadumany, ani spostrzegł jej, ani wiedział o tem, kto ona była.

Los gotował mu właśnie z nią nieprzyjemną niespodziankę. Raz gdy zwolna wieczorem konno, zamiast przez pole, małą drożyną pod lasem powracał ku Rusinowemu Dworowi — zaturkotało za nim; a że wozy i wózki spotykał często, więc nie odwrócił się nawet.

Małą karyolką powracała z folwarczku pani Bończyna i Sylwan ani się spostrzegł, gdy równawszy się z nim, wpatrzywszy dobrze długo w niego, parsknęła śmieszkim wesołym.

— Panie Horpiński!... cóż-to za maskarada?... Pan, tu?... w tej siermiędze?

Potrzeba było chwili dobrej namysłu Sylwanowi, nim się zebrał na odpowiedź. Skłonił się powoli; twarz przybrała wyraz poważny.

— Trochę poluje, odpoczywam trochę po miejskim gwarze — odpowiedział sucho. — Miałoby to być grzesznem lub — tak dziwaczem?

— Daruj pan, ale przynajmniej jest oryginalnem — poczęła wdówka, której konie zwolniły biegu i szły teraz równym krokiem z wierzchowcem Sylwana. — Więc pan tak bardzo potrzebujesz sa-



motności? Ukrywasz się? aby cię tu nikt nie szukał i nie znalazł?

Horpiński, pochylony nieco—dumał.

— Być może, iż się wydaje pani oryginalnym, lecz—rzekł spokojnie — mamy różne gusta i potrzeby... Co nikomu szkodliwym nie jest—należałoby, mnie się zdaje—przebaczyć fantazyi...

— Właśnie, że to jest szkodliwym—odparła filuternie Bończyna, spoglądając na niego—bo nas pozbawia przyjemności obcowania z panem. Musimy się czuć obrażonymi, iż nie raczysz naszego towarzystwa uznawać godnym siebie.

— Dlaczegoż nie odwrotnie?—odrzekł natychmiast Sylwan.

Wdowa nie chciała mu się dłużej naprzykrzać drażliwymi słówkami i zmieniła ton.

— Ale ja o panu tutaj dawno wiedziałam—rzekła—tylko szanowałam jego zamiłowanie pokoju.

— Od kogo pani mogłaś wiedzieć o mnie?—spytał Sylwan.

— A! tego odkryć nie moge! Tajemnica stanu!—śmiała się Bończyna.—My, kobiety, jesteśmy, jak wiadomo, ciekawe, podejrzliwe, nieznosne—i wiemy wszystko.

Obejrzała się dokoła piękna wdowa.

— Ponieważ szczęśliwy los dał mi pana złapać tak na uczynku — dodała — mam prawo się upomnieć, abys był grzeczny i chciał mnie odwiedzić.

— Pani dobrodziejko—ja tu nie mam nawet oprócz—siermięgi.

— A! to nic nie znaczy, przyjmuję pana w siermiędze.

Sylwan się zamyslił.

— Będę pani służył—rzekł zniżając głos—ale—mam prośbę do niej. Oryginalność to, fantazyja—zdziwaczanie — nazwij pani, jak chcesz, postępowanie moje, nie radbym, aby ludzie się niem zajmowali. Prosiłbym, abys pani o tem raczyła zapamiętać.

— A! zapomnieć nie potrafię — rozśmiała się Bończyna—ale daję panu słowo i dotrzymam go, że wcale o tem mówić nie będę.

A zatem—do zobaczenia w Brzózkach. — Maciuś, popędzaj!

I wózek pani Bończyny klusem potoczył się ku Brzózkom, a Sylwan, zły, skwaszony, nie rad z siebie, skierował się ku Rusinowemu Dworowi. Nie był tak naiwnym, aby wierzył w to, iż wdowa zamilczy o nim i o spotkaniu — ale zrezygnował się już na—przyznanie do tego, iż czasem robił wycieczki myśliwskie, w ciągu których sam być lubił.

Co o tem mówić sobie miano, już go mało obchodziło.

Chcąc się pozbyć co rychlej ciężących mu odwiedzin w Brzózkach, o których matce wcale nie wspomniał, nazajutrz po obiedzie, przebrał się w swoje suknie miejskie, wcale niewytworne i na wsi tylko ujęć mogące—okrył się płaszczem i wyruszył do wdowy.

Tu go może oczekiwano.... Bończyna, zawsze wesolutka, mająca wiele do powiedzenia, więcej jeszcze do pytania, przyjęła sąsiada z uprzejmością nadzwyczajną.

— Jeżeli kto, to ja nie mam prawa panu wyrzucać jego oryginalności — rzekła po przywitaniu—bo moje życie nadzwyczaj jest podobne do pańskiego. I ja część roku spędzam tu w samotności, z tą tylko różnicą, że mam szczęście cieszyć się towarzystwem matki.

Sylwan, siedzący z oczyma spuszczone, nie odpowiedział nic.

— Mojem zdaniem—rzekł po długim milczeniu zadumanem,—nikt nikomu rodzaju życia, jaki sobie obrał, za złe brać nie powinien. Każdy sobie tworzy najwygodniejsze gniazdo — jak ptaki, które je w najrozmaitszy sposób budują.

— To tylko takie trzpioty jak Emil—wymówiła się niechcący Bończyna, i małą rączką uderzyła się po ustach.

A! co mi się to wymknęło.

— Żaden to sekret dla mnie—odparł obojętnie

Sylwan.—Wiem, że ten chłopak, który nie ma co zrobić z życiem, z czasem i z sobą, szpiegował mnie. Śmiałem się i śmieję z tego.

— Ale panowie z sobą nie jesteście poróżnieni?—zapytała wdowa.

— Ja? z nim! — rozśmiał się Sylwan—ale proszę pani, ja nie biorę na seryo p. Emila Paczuskiego, i nikomu go nie życzę uważać za co innego, jeno za bardzo dobre chłopię, które potrzebuje długo dojrzewać.... byle, nim dojrzeje, gniew nie zaczął.

Pieszczoszek, popsuty—biedaczysko, ma przed sobą przyszłość bardzo niepewną i biada kobiecie, coby mu swój los powierzyć chciała.

Z pozorną obojętnością wymówione te wyrazy, przyjęła wdowa chciwie—i utkwily w jej pamięci.

Emil dosyć się podobał Bończynie—miała może jakie projekta na niego — zdawało się jej łatwym opanować serce i umysł nieopatrzniego młodzika. Zdanie o nim Horpińskiego ostudziło i nastraszyło piękną panią.

Nastroiła minę seryo.

— Tak surowo go pan sądzisz?—spytała.

— Jest to jeszcze bardzo pobłażliwe zdanie—rzekł Horpiński. Wistocie mam nawet pewną sympatyą dla biedaka, żal mi go — ale mu przyszłości dobrej wróżyć nie mogę—a przeraża mnie myśl, że ktoś z takim strernikiem ważyłby się pnieść na morze. Słaby i zarozumiały,—może być co groźniejszego nad to?

Zmilczała wdowa.

— Pan wogóle jesteś surowym dla ludzi—rzekła—spozstrzegłam to już dawniej.

— Czy pani sądzi, że oni dla mnie są bardziej pobłażającymi?—odparł Sylwan—ale to kwestya podrzędna—złośliwym nie jestem, widzę mimowoli jaśniej niż inni — skały, skopy, rafy, o które się rozbijają marzenia... Troszkę żeglowałem sam—a wilem się przypatrywał pływającym po morzach. Wszystko przebaczam — lituję się nad wszystkimi—cóżem winien, że czasem mam dar jasnowidzenia?

— Smutny to dar—odezwała się Bończyna.—Ja wolę nie widzieć naprzód, aby się zawczasu nie trwożył.

— Z pewnością to lepsza rachuba — dolożył Sylwan.

Parę godzin spędził w Brzózkach Horpiński i po herbacie odjechał. Stara Sędzina, która rozmowie o Emilu była przytomną, a na której poważny Horpiński zrobił wrażenie bardzo rozumnego człowieka, zaraz po jego odjeździe napadła na córkę.

— Widzisz!... widzisz!... com ci ja o tym Paczuskim mówiła, a takeś się nim zajęła, zabałamucała! Wierz mi, że to wietrznik, i choć bogaty, młody, przystojny—ale—niech nas Bóg od niego broni!

W twojej głowie już się snuło—nie prawdaż?

— No... snuło się i rozsnuło!—odparła smutnie Bończyna. — Przynaję się mamie, że — trochę mnie zajął, bo i on się mną zajmował. To, co o nim powiada Horpiński, zupełnie mnie ostudziło i rozczarowało. Nie, nie, nie!... Nie chcę go i myśleć o nim nie będę.

Ale mówiąc to, westchnęła wdówka.

Rozum i pan Sylwan nie dozwolili marzyć o nim; serce i potrzeba zakosztowania życia znów, przemawiały za wesolym i miłym chłopcem. Miał dla Bończyny urok ten biały, różowy, pulchniutki jedynak, który umiał przypochlebić się, podobać—okazać czułym i namiętnym.

Lecz całą resztę życia pokutować za zjedzenie tego cukierka?—wdowa była nadto rozumną i doświadczoną, aby się tego dopuściła.

Westchnęła i powiedziała sobie w duchu:—Bądź zdrowe! marzenie.

Prawie w tym samym czasie Paczuski na wsi, odpoczywając z cygarem w swoim pokoju, roił o Bończynie i uśmiechało mu się to, że w zimie będzie jej *cavalierie servente*, że—wielu mu będzie zazdrościł.

— Taka śliczna i tak się młodziuchną wyda-

je!—powtarzał. — Gdybym nawet się ożenił—zaprawdę — nikt-by nie mógł powiedzieć, że para nie dobrana... A! jakby nam było z sobą wesoło!

Nie przewidywał p. Emil, że kilka słów Horpińskiego — pewno nie bez celu powiedzianych, cały gmach tych marzeń miało obalić i w gruzy obrócić.

Koniec tomu pierwszego.

## RUCH MUZYCZNY.

Ubiegły sezon tegoroczny koncertowy nieobfitował w wielce wybitne siły artystyczne. Oprócz Sarassatego, który, polubiwszy warszawskie tryumfy, dość często nas nawiedza, nie mieliśmy innych znakomitych gości.

Od czasu do czasu dochodziły nas wprawdzie echa z opery i z estrad dobroczynnych koncertów; echa te jednak, jako słabe a dobrze znane naszym czytelnikom, nie dawały nam treści do sprawozdania. Teraz nas dopiero ocucił z uspienia koncert naszego ziomka, także znanego dobrze, lecz który za każdym swym występem posuwa się wyżej i nowe zdobycze przedstawia.

Stanisław Barcewicz pokonywał dotąd wszelkie zapory techniki, rozwijając ją olbrzymio—teraz zaś wszedł na drogę uszlachetnienia, że tak powiemy: uduchowienia tej pięknej, że w zech miar gry. Praca w tym kierunku, jako zadanie trudniejsze od wszelkich innych, daje rezultaty tylko wybranym, a takim się okazał Barcewicz po ostatnim swym koncercie. W grze jego przebija już spokojność pewna siebie, szlachetne pojęcie uczucia, poezya.

W pierwszym *Allegro* z Koncertu Moszkowskiego, jako dziele prawie symfonicznem, koncertant napotyka tę trudność, że mu nie wolno wyłącznie opanować uwagi słuchaczy i przykuć jej do siebie; musi on poniekąd rozplynać się w całości dzieła, stanowić tylko cząstkę harmonizującą z innemi; Barcewicz odczuł to doskonale, zdobył się na umiarkowanie, dając tem dowód głębszego wniknięcia w sztukę. W pięknym *Andante* z tegoż koncertu rozwinął natomiast prawdziwe skarby uczucia subtelnego, wykończenie najdrobniejszych szczegółów; część ta, najpiękniejsza z całego dzieła, zjednała koncertantowi najgorętsze uznanie rozpoetyzowanych słuchaczy. Dalej grał jeszcze *Suite* Ries'a, doprowadzając do punktu kulminacyjnego entuzjazm wykonaniem świetnym arcytrudnego *Perpetuum mobile*, które może być uważane jako próbiez wytrzymałości grającego i lekkości jego ręki. Świetny ten występ Barcewicza kończyły dzieła Żeleńskiego, Wieniawskiego i Sarassatego. Współudział przyjęła pani Klamrzyńska, oraz orkiestra opery pod dzielną batutą pana Rzebiczkę, świadcząc i tym razem o prawdziwości zdania, że dobrą orkiestrę stanowi przeważnie umiejętny kierunek i subordynacja.

Przedstawienie zeszytygodniowe „Fausta“ Gounoda było prawdziwie interesującym ze względu na gościnne występy pani Rzebiczkowej, panów Filippi-Myszuga i Zawadzkiego. Pani Rzebiczkowa kilkakrotnie występami swemi dała się poznać jako śpiewaczka, która nie byłaby może w stanie podnieść kreacji muzycznej nad jej wartość rzeczywistą, otaczając ją urokiem idealnego wykonania, nieraz zdolnego zastąpić treść rzeczy; lecz cokolwiek śpiewa,—zaśpiewa sumiennie, nie wznosząc się jednak nad poziom dość pospolity niezbędnych warunków przeciętnego śpiewu. Małgorzata Gounod'a w interpretacji pani Rzebiczkowej więcej nam przypominała kreacyą Boity, pojmującego realistycznie jej istotę; cały urok poetyczny ujęty w cudne pomysły Gounod'a, wydał nam się rozwianym. W balladzie przy kołowrotku, w której autor tak pomistrzowski przedstawił rozmarzenie młodej dziewczycy, pełne zadumy i liryzmu, najwięcej dawał się uciec ten brak przejęcia się intencjami autora. Scena



w więzieniu oraz modlitwa przed kościołem, jako chwile bardziej dramatyczne, lepiej też były pojęte.

Pan Myszuga ma głos dość silny i wysoki, z lekkim oddźwiękiem gardlanym, szczególnie, gdy go w całej pełni używa — natomiast ma bardzo miłe *mezza voce*, rutynę śpiewacką i wytrzymałość głosu.

Od chwili, gdyśmy raz ostatni słyszeli pana Zawadzkiego, artysta ten wiele bardzo postąpił w wykształceniu swego głosu; przedewszystkiem wyrównał go, uszlachetnił, a pod względem intonacji upewnił. Jest to głos sympatyczny, dźwięczny, lecz nie nazbyt silny; z tego też powodu w partii Mefistofelesa ginał cokolwiek, lub też brzmiał nienaturalnie. Powstrzymamy się jednak ze zdaniem ostatecznym o panu Zawadzkim, aż do chwili, gdy go ponownie usłyszymy w jakiejkolwiek innej operze.

Julian Staltler.

## ECHA Z CZECH.

Korespondencya B. Rajskej i Bożeny Niemcowej. — Z dawnych lat. — W Domażlicach. — Owczesne patryotki. — Przywiązanie do ludu. — Kompozytor Dworzak w Londynie. — Czeska muzyka. — Teatralne pociągi — rzeczy niebywałe. — Mierzwiński. — Obraz Brożika „Jan Hus“. — Matejko z czeskiej krwi — Z literatury. — Bartosz, etnograf. — Gazety prowincjonalne. — Polacy w Pradze. — Bal polski — Morawianki. — Nauka języka polskiego między dziećmi. — Przykłady.

(Dokończenie).

Muzykalny krytyk dziennika *The Times* (a więc nie żadnego świątka brukowego) następnie się wyraża o Dworzaku: „Stabat mater“ Dworzaka jest najważniejszą kompozycją tegorocznego londyńskiego sezonu muzycznego. Inne dzienniki londyńskie pełne są pochlebnych słów dla czeskiego mistrza; szczególnie podobały się angielskiej publiczności też jego „słowiańskie tańce“ i „słowiańskie rapsodye“. Nawiasem nadmieniamy, że Dworzakowi zawdzięczamy dwie znakomite opery, które ciągle znajdują się na repertoarze Narodowego Teatru. Muzyka operowa Dworzaka ma mało wspólności z wagnerianizmem, jest pełna żywych melodii i przystępnego uroku. Jako człowiek prywatny, jest Dworzak bardzo skromnym, żyje tylko dla sztuki i w sztuce.

Dotknąwszy się raz muzyki, z przyjemnością prawdziwą wspominam, że sprawy teatru narodowego ciągle idą dobrze. Pociągi teatralne przywoziły z prowincji do świątyni muz czeskich już przeszło 60,000 osób wszystkich warstw społeczeństwa. Urządzono też osobne pociągi dla dzieci. Wogóle zapał dla teatru jest trwały, bo wychodzi z głębi duszy całego ludu, który tak świetnie składał grosz wdowi na odbudowanie *divadla* po pożarze. Od czasu do czasu nadchodzą nawet wiadomości, które brzmią jak bajki. Oto, na przykład, mają zamiar też Czesi amerykańscy urządzić wycieczkę do teatru. Wybiera się z Ameryki kilkaset osób, którzy najając chęć osobny Teatralny statek parowy z *New-York'u* do *Hamburga*. Nawet i Czesi wiedeńscy, których przecież nigdy nie chwalono, urządzili sobie osobny pociąg teatralny z Wiednia do Pragi. Czeskich Wiedeńczyków przyjechało 670 osób!

Z Morawii zgłosiło się nanowo kilka gmin, które urządziły umyślnie pociągi teatralne do Pragi i jeśli uwzględnimy, że i z samych Czech co tydzień przybywa od jednego do trzech pociągów teatralnych z setkami gości, to zapewne powieździć możemy, że w Teatrze Narodowym w Pradze i bez Pragi tak prędko pustki nie będą, czego sobie szlachetni Niemcy tak gorąco i serdecznie życzyli. Ale i bez prowincji napelni Praga Czeska swój czeski teatr! Troski niemieckie są zatem całkiem zbyteczne.

W końcu Kwietnia oczekiwany jest w Pradze na gościnne występy wasz sławny Mierzwiński.

Że nie zabraknie owacy, rozumie się samo przez się, bo Mierzwiński, — ołbrzym swej sztuki, to jednak pewne, że nie wszędzie się tak serdecznie z niego cieszą i że nie wszędzie z taką radością bić mu będą brawo, jak w Pradze — bo Mierzwiński nietylko znakomity śpiewak: Mierzwiński też Polak!

W Ratuszu prazkim od dwóch miesięcy wystawiony jest najnowszy obraz Wacława Brożika, najlepszego współczesnego malarza czeskiego. Brożik mieszka stale w Paryżu, tam maluje i co od niego cieszą i że nie wszędzie z taką radością bić mu będą brawo, jak w Pradze — bo Mierzwiński nietylko znakomity śpiewak: Mierzwiński też Polak!

W Ratuszu prazkim od dwóch miesięcy wystawiony jest najnowszy obraz Wacława Brożika, najlepszego współczesnego malarza czeskiego. Brożik mieszka stale w Paryżu, tam maluje i co od niego cieszą i że nie wszędzie z taką radością bić mu będą brawo, jak w Pradze — bo Mierzwiński nietylko znakomity śpiewak: Mierzwiński też Polak!

W Ratuszu prazkim od dwóch miesięcy wystawiony jest najnowszy obraz Wacława Brożika, najlepszego współczesnego malarza czeskiego. Brożik mieszka stale w Paryżu, tam maluje i co od niego cieszą i że nie wszędzie z taką radością bić mu będą brawo, jak w Pradze — bo Mierzwiński nietylko znakomity śpiewak: Mierzwiński też Polak!

Zaraz w pierwszych dniach po wystawieniu „Husa“ w Pradze powstała popularna myśl, aby kupić ten obraz na własność kraju. Kosztować on ma 50,000 guldenów, które zebrać się mają — jak zazwyczaj — dobrowolnymi składkami. Dotąd zebrano blisko 15,000 guldenów: jest zatem nadzieja, że „Hus“ Brożika nazawsze zostanie w Czechach, czego tem silniej pragnąć wypada, ponieważ dotąd prawie wszystkie lepsze prace malarzy czeskich nabywane były przez mecenasów zagranicznych. Dość przypomnieć, że nie mamy w Czechach ani jednego obrazu zgasłego już Czermaka.

Mówiąc o malarstwie, nie mogę pominąć przy sposobności polskiego mistrza Matejki. Historyk Fr. Dworski w Pradze, proszony przez mistrza o zbadanie jego pochodzenia ponownie, wynalazł w archiwach tutejszych dowody, że ojciec waszego mistrza pochodził z Czech i że Czechem był i wiadomość tę szczegółową podał historyk w miesięczniku *Sbornik slovanski*. Znajduje się zresztą w rękach krakowskiego mistrza świadectwo szkolne jego ojca, pochodzące z Krolowej Hradcu w Czechach. Niema więc wątpliwości, że ojciec Matejki był Czechem i że mistrz wasz pochodzi ze strony ojczyznej z Czech. Rozumie się samo przez się, że okoliczność ta najmniejszego wpływu nie ma na narodowość Matejki, bo cały świat wie słusznie, że Matejko jest nawskróś Polakiem — fakt, którego nigdy nie zmienić nie zdoła. Odkrycie wszelako tę mieć może korzyść, że się w takich sprawach zawsze laskawym Niemcom odejmie możność i chęć zrobienia, jeżeli nie z samego sławnego polskiego malarza, to przynajmniej z jego ojca — Niemca. Któż wie, czy za paręset lat poczciwy naród „filozofów“ nie będzie z Matejką tak filozofował, jak filozofował i dotąd filozofuje z Kopernikiem!

Z literatury zaznaczyć nam wypada kilka wybitnych i nowości. Przedewszystkiem zwracamy uwagę na prace morawskiego profesora Bartosza, etnografa, którego szkice etnograficzne ogromną mają dla nas wartość, gdyż autor zachwycał w nich rysy ludu, które może już jutro fala cywilizacyjnego prądu nazawsze porwie i uniesie. W książce niewielkich rozmiarów p. t. *Lid a narod*, opisuje professor Bartosz lud dziesięciu wiosek morawskich w Zlinskiem z rzadką dokładnością. Charakter ludu, mowa jego, poezya, uroczystości i wszystko to, czem lud istnieje, opisuje autor z taką gruntownością i żywością, że dopiero należycie oceniamy takiego rodzaju książki, o których powiedzieć można, że połączona w nich jest największa nauka z najpopularniejszą zabawą. Czesi, niestety, w ostatnich czasach

mniej pracowali nad etnografią swego kraju i w żaden sposób porównywać się nie mogą z Polakami, którzy mają swego Kolberga, nieocenionego zbieracza skarbów narodowych. Dawniej i u nas więcej na tem polu pracowano, lecz w ostatnim czasie jakoś więcej się hołduje hałaśliwej pracy, która daleką jest od cichego badania tajemnic duszy prostego ludu.

Mówiliśmy, że w ostatnim czasie więcej się hołduje hałaśliwej pracy. Tak jest, jako żywo! Najlepszy tego dowód, stanowi ciągle przybywanie nowych gazet, z których zaledwie 50% ma racją bytu, a zaledwie 20% jest potrzebne.

Miasteczka prowincjonalne, liczące zaledwie 5,000 mieszkańców, mają już swe osobne organy; w miasteczkach, gdzie jest 10,000 mieszkańców, wychodzą po dwa pisma lokalne. A jeszcze-by to uchodziło, gdyby wszystkie te pisma zadość czyniły swemu zadaniu! Tymczasem wielka część ich pod względem kierunku odznacza się albo szkodliwością albo największą na świecie bezbarwnością. Najgorzej jednak jest, gdzie w jednym mieście wychodzą dwa pisemka razem — to zwyczajnie nie innego tam nie ma, nad wzajemne polemiki o rzeczy, które nawet marnego słowa, a cóż dopiero druku — nie są warte. Takie-to miejscowe świątki zwyczajnie dzielą najpocziwszych mieszkańców naszych miasteczek na dwa stronnictwa, bo każde stronnictwo ma swój „organ“, w którym się toczą miejscowe walki! A naród? Naród wcale się nie troszczy o to, co tam w gniazdach swoich głupiego mają. Zawsze jednak szkodliwym jest, te wydawanie całkiem zbytecznych pisemek; odbiera bowiem abonentów pismom poważnym, dobrze redagowanym, zdolnym oświecić i pokierować. Rozumie się, że słowa te nie tyczą się wszystkich prowincjonalnych pism czeskich: są, owszem, i takie, które działają bardzo korzystnie i które nazwać można głównymi bodźcami utrzymania ducha narodowego w germanizowanych częściach kraju. Do takich pism liczymy *Tygodnik opawski*, pisemko znakomicie redagowane i zupełnie odpowiadające swemu celowi. Pismo to gorliwie jest wspierane i znaleźć je można w każdej lepszej publicznej miejscowości prazkiej.

Na zakończenie niniejszego listu, pozostaje mi zanotować choć słów kilka o naszych wzajemnych stosunkach polsko-czeskich. Przedewszystkiem *post festum* o prazkim balu polskim, który teraz co rok przypomina czeskiej publiczności mazura, i który, zdaje się już nastąpić, pomnożył liczbę świetnych karnawałowych wieczorów naszej Pragi. Ma też polski bal prazki dobry rozgłos i towarzystwo nasze chętnie garnie się na ten wieczór. Tego roku przyjechało nawet kilka osób z prowincji, ażeby zobaczyć dzielnego mazura. Nawiasem nadmienić wypada, że Czeski nasz bardzo prędko wprawiły się do polskich tańców, co tem jest ciekawsze, ponieważ w Pradze mieszka tylko kilka Polek. Tegoroczny bal polski powiódł się znakomicie, zebrało się nań dużo wybitnych osobistości i prócz tego jeszcze inne okoliczności uczyniły go nam podwójnie przyjemnym. Otóż w dniu polskiego balu, przybył do Pragi morawski pociąg teatralny z Brzeclawskiego. Korzystaliśmy zatem z tej sposobności i przyprowadzono na Bal Polski, po uroczystym przedstawieniu w teatrze, morawską deputacyą kilku wiejskich dziewcząt i chłopców, rozumie się, w narodowych ubiorach. Szczególnie jedna z tych dziewczyn morawskich atakowana była ze wszystkich stron przez Polaków i Czechów, przez wielkich i małych, panów i paniczków. Tańczyła dobrze, nawet bardzo dobrze, a rozmowa z nią, choć „tylko“ wieśniaczką, bawiła trzeźwym, prostym ale i nie zepsutym, czystym poetycznym poglądem na świat.

Na naukę języka polskiego zwraca się w Czechach coraz więcej uwagi — jeżeli wogóle jeszcze więcej uwagi zwracać można; bo robi się i robiło w tym względzie już wszystko, na co możność pozwala. Na uwypatnienie zasługuje następujący fakt. Otóż wychodzi w Pradze nakładem Szymaczka pod redakcyą p. Sokola prześliczne pisemko dla dzieci *Jary wiek*. W tym pisemku, które dostaje się tylko do rąk najmłodszego po-



kolenia czeskiego, pomieszczają się obecnie bardzo praktyczne *lekcje języka polskiego dla dzieci*; w każdym numerze *Jarego wieku* znajduje się jedna lekcya i nie ma wątpliwości, że młodzi czytelnicy i czytelniczki tego pisemka „przyszła nadzieja ojczyzny“, korzystając z tej sposobności, będą w końcu władały językiem polskim przynajmniej o tyle, ile tego potrzeba do czytania i rozumienia.

Przekładów z języka polskiego ciągle mnóstwo. U Wilimka wyszły właśnie *Krakowskie obrazki* Bałuckiego; dalej, pokazała się *Zarnica* T. T. Jeża w tłumaczeniu prof. Hory, tegoż *Uskoki* i t. d. Znany z prac dotyczących się Polski Fr. Kvapil, pracuje nad *Antologią poezji polskiej*, część której zamieści w następnych zeszytach *Slovanskiego zbornika*. *Hovorka* wydaje w *Matici lidu* zbiorek powieści polskich w tłumaczeniu czeskim, w którym znajdować się będzie także jedna praca pani Marrené.

Edward Jelinek.

## Kronika działalności kobiecej.

— Kommissya dorocznej wystawy inwentarza wezwala do grona sędziów pań cztery: hr. Maryę Czetwertyńską, Zofią Kowerską, Celinę Przyłubską i Anton. Szydłowską. — Panie te sądzić mają w oddziale drobiu, gdzie też słusznie, a nawet koniecznie, stanowić powinien głos kobiecy. Czy nie należałoby również, aby kobieta znajdowała się jako sędzia i w innych działach hodowli zwierząt z gospodarstwem kobiecem złączonych? Chów trzody chlewnej należy właśnie do gałęzi takich, gdyż zostaje przeważnie w rękach kobiety, tak po dworach, jak w chatach, i to nietylko na wyłączny użytek gospodarstwa domowego. W wywozowym handlu naszym handel trzodą chlewną zajmuje jedną z pozycji znaczniejszych, a daje go krajowi gospodarstwo kobiece; kobieta też jako znająca się praktycznie na tem, jakie gatunki trzody chlewnej opłacają się najlepiej w gospodarstwie domowym przez mięso i słoninę—powinnaby także mieć tu głos sądzący.

— W d. 27 Kwietnia zebrało się w Sali Łódzkiego Towarzystwa Kredytowego pań 23, celem naradzenia się nad urządzeniem jednego oddziału taniej kuchni w tymże mieście. Kuchnia ta Nr 1, istniejąca na Starem-Mieście, a wydająca pięćset obiadów dziennie, ma je i dla ludności izraelskiej, a jadło dla tej przyrządzane będzie wedle zasad religii mojżeszowej. I opiekunki także są wyznań różnych, łączy je tylko uczciwe uczucie miłości bliźniego i obowiązków obywatelskich. Ze zaś warszawskie Tanie Kuchnie pozbawione są takiej naturalnej, a wszędzie prócz naszego miasta praktykującej się w tem dziale filantropii publicznej, opieki kobiecej, kobiecego współdziałania, Warszawa może pod tym względem zazdrościć Łodzi. Panie obradujące były: Zofia Boehm, Izydorowa Birnbaum, Izydorowa Boruch, Ludwikowa Friedländer, Maxymilianowa Goldfeder, Jakubowa Hertz, Maurycowa Heyman, Albertowa Karo, Izydorowa Kempnińska, S. Goldblumowa, Hermanowa Konstadt, Samuelowa Lande, Maks. Lande, J. Auerbach, Zygrydowa Mannaberg, Zygrydowa Meyer, dy-

rektorowa Rosicka, Jakubowa Schröter, Izraelowa Poznańska, Ignacowa Poznańska, Hermanowa Poznańska, Max. Keller, Michałowa Radlauer. Panie te, ułożywszy między sobą podział obowiązków, postanowiły: aby codzien jedna z pań czuwała nad przygotowaniem potraw od 9—11½ godziny, a ośm od 11½—2 godziny po południu przewodniczyło wydawaniu obiadów, do czego przyzwały obradujące w pomoc pań tyle, że razem zarząd kuchni Nr. 1 posiada ich na zmianę codzienną przez dwa tygodnie ilość wystarczającą. Pierwszy dyżur w godzinach porannych spełniły: Izraelowa Poznańska, Michałowa Radlauer, Zofia Boehm, dyrektor. Rosicka, Izyd. Birnbaum, Ernestyna Ginsberg, Zygmunta Jarocińska, Augustowa Baruch, doktorowa Wolberg, I. Dobranicka, Iz. Kempnińska, S. Goldblum. Szczęście im Boże i daj wytrwałość większą niż była gdzie indziej. Gazeta Łódzka pisze, że gorliwość tych opiekunek ubogiego zasługuje na uznanie.

— W Towarzystwie składającym *Kasę pomocy* imienia Mianowskiego, znajdowało się w rok ubiegły w ogólnej liczbie 795 członków, kobiet 32, z tych Warszawa dała 18: Baranowska Julia, Baranowska Marya, Horwat Michalina, Ilnicka Marya, Jotejko Karolina, Kochanowska Eufemia, Kosmowska Bronisława, Krupce Zofia, Krzywobłocka Joanna, Kwecińska Stefania, Laskowicz Marya, Laskowska Marya, Matuszewska Marya, Mitkiewicz Marya, Natanson Bron., Paszkowska Kazim., Rzeszotarska Mar., Sikorska Jadwiga, Zegrzda Anna. Następne 14: Dąbrowska Alex. Sluby, Biegańska Antonina, Dukszty; Janowicka Raisa Irkuck; Kobylańska Mar. Kalisz; Kudelska Mar. Lublin; Łuszczewska Jadw., Kociołek; Olechnowicz Walentyna Piotrowice; Ostrowska Fel. Wilno; Patraszewska Wilh. Kijów; Rutkowska Mar. Kamionna; Siedlewska Kam.; Zduńska Wola; Swidowa Wirginia, Penza; Zachorska, Ekaterynburg. Ofiary jednorazowe złożyło pań 2: Czarnowska Zof. rs. 10; Szeliska ze Szczucin rs. 10. Zapomogę na wykonanie pracy naukowej otrzymała 1: Jadwiga Wojcicka na mapę poglądową Europy rs. 100.

— Nauczycielka koronkarstwa, panna Przewoska przybyła do Piotrkowa, i jak donosi „Tydzień“ Piotrkowski, ma udzielać lekcyi prywatnych w godzinach porannych, aż do 3-ciej po południu. Ze oddawna Ochrona w Piotrkowie pragnęła i nawet już próbowała, aby dziewczynki tam uczęszczające kształciły się w tej gałęzi pracy ręcznej, zapewne przybycie p. Przewoskiej do Piotrkowa pozostaje w związku z tem dobrem życzeniem.

— W Hamburgu znana niemiecka filantropka, Joanna Goldschmitt, urządziła taną kuchnię dla dzieci i prawie zaraz 300 biednych malców stało się jej stołownikami.

— Angielskiemu parlamentowi przedłożoną została poprawka do prawa, regulującego majątkowe stosunki mężatki: „The married Women's Property Act“ a to z powodu, że w praktyce blisko dwuletniej okazały się w niem braki i przy podniesieniu praw żony niedostatecznie uwzględniono prawa męża, a zarazem rodziny. I ten bill nowy nie dał kobiecie angielskiej, jak żądaniem było, możliwości wytaczania przeciw mężowi akcyi kryminalnej w razie samowolnego przywłaszczenia sobie jej własności, dopóki tylko życie wspólne małżonków trwało, ale i mąż nie otrzymał tego również przeciw żonie, z którą mieszkał pod dachem jednym. Ale nowe prawo występowało natychmiast surowo, gdy małżonkowie rozdzieleni, stają się poniekąd obcemi sobie. Tak mąż, jak żona nie może zabrać z domu, który opuszcza, nic z tego, coby było własnością drugiej

strony, co-by było nabyte za jej majątek, lub za pieniądze przez nią zarobione i każdemu z małżonków służy prawo wytoczenia kryminalnego procesu jak o kradzież, w razie podobnego poszkodowania, lecz tu zaczyna się niesprawiedliwość. Żona może świadczyć w swojej sprawie i dowodzić, że to i tamto do niej należy i sąd opiera się na tem jej dowodzeniu; że przecież mąż jest prawie zawsze przez zarobek swój dostarczcycielem tego, co się w domu znajduje,—nowe prawo uwzględniając położenie żony, która-by najczęściej nie w takim razie za własność swą uznać nie mogła, świadectwo męża poniekąd usuwa, jakkolwiek może on występować kryminalnie przeciw żonie, która-raby coś z jego własności ze sobą uniosła, i prawnicy angielscy wykazali, że są wątpliwości, zali mąż może świadczyć za sobą i czy może on składać osobiście dowody posiadania. Zatem dwóch członków Izby Niższej: Richard Cross i Hinde Palmer wystąpili z żądaniem poprawki, która zapewne przejdzie bezspornie, bo zdarzenie chce mieć, że jeden z tych panów należy do stronnictwa ministerjalnego, drugi jest z opozycyi, więc dyskusyi nie będzie.

Należy tu nadmienić, że blisko w rok po wprowadzeniu prawa—kobiety angielskie zwróciły na to uwagę przez najbardziej postępowe organa swoje, że kobieta prawie nie korzystała z praw jej przyznanych. Rodzina w Anglii jest oparta na gruncie wysoko pojętego obowiązku.

Tom II-gi dzieła pod tytułem :

## ROZRYWKI

### DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEWER. PRUSZAKOWĄ

WYSZEDŁ Z DRUKU

Cena dla prenumeratorów „Bluszczu“

w Warszawie kop. 50; z przesyłką kop 60.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Natchnienie i Miłość.**

**TREŚĆ.** Obowiązki kobiety oświeconej względem kobiety klas nieoświeconych, II, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką.— Pogawędka. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Echa z Czech, (dokończenie), przez E. Jelinka. — **Kronika działalności kobiecej.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 25 Апрелья 1884 года.